

Kronika tygodniowa.

Poprzednią kronikę zakończyłem wzmianką o aprowizacji miasta Krakowa, niestety, wygadać się należycie nie mogłem, na przeszkodzie stanął bowiem pan metrapaź, który zapowiedział, że miejsca brakuje.

Orzeczenia jego są zaś, jak wiadomo, stanowcze, dają mu posłuch większy nawet niż Weronisi. Ją można czasem ocyganić, on się nie pozwoli.

To więc, co było w ogonie poprzedniej, znajdzie się dziś na czole kroniki, a tu nawet pan metrapaź nie da mi rady.

Jest więc w Krakowie komisja aprowizacyjna, która radzi nad dobrem naszych żołądków i wydaje od czasu do czasu orędzia do narodu, zawiadamiające, że nie spi, ale czuwa.

Z jednego z nich dowiedzieliśmy się, że dzięki jej zabiegom udało się uzyskać zezwolenie odnoszących władz na dowóz do Krakowa różnych środków spożywczych, na razie z dwu najbliższych okręgów Królestwa Pol. Obiecano nam tyle a tyle jaj, kur, gęsi, kaczek, masła, sera i t. d. tygodniowo. Każdy, czytając to, oblizywał się ze smakiem, mina mu jednak nieco zrzędlą, gdy na końcu zobaczył wzmiankę, „o ile jednak artykuły te można będzie nabyć na miejscu, z powodu bowiem częstych przemarszów wojsk i tam dają się już odczuwać ich braki“.

Jak dotąd, przywieziono stamtąd pewną liczbę gęsi, które magistrat sprzedawał we własnym zarządzie i po cenie własnych kosztów, gęś przecież taki dziś zbytek, że na to może sobie chyba milioner pozwolić, a nie dziennikarz. Obchodzę się więc smakiem, a gdy mi przyjdzie apetyt na gęsinę, otwieram podręcznik zoologii, przypatruję się obrazkowi, przedstawiającemu tego sympatycznego ptaka i gryzę równocześnie bułkę za cztery halerze. Ponieważ mam bardzo bujną wyobraźnię, wydaje mi się, że to nie bułka, ale gęsiną!

Tak samo radzę postępować każdemu z Czytelników, którego nie stać na zakupno bodaj jednej z obronielek Kapitolu.

Celem uczczenia tej niezwyklej a radosnej chwili, gdy pierwszy transport gęsi przybył do Krakowa, Teatr miejski wystawił sztukę Bałuckiego „Gęsi i gąski“, co znów wprawiło w ogromnie zły humor recenzenta teatralnego „Gazety Krakowskiej“, jakowego pana F.

Pisze on między innymi:

„Gęsi i gąski“ pojawiły się pierwszy raz w roku 1887. Wówczas naiwność i bezpretensjonalność uchodziły za zaletę, a nawet za wymaganie, a publiczność ówczesna była zadowolona, że mogła przez trzy godziny zaśmiewać się, tembardziej, że to był i pisarz swojski i dowcipy swojskie. Refleksji wówczas nie było, sztuki od teatru nie wymagano, z wdzięcznością przyjmowano gwiazdy teatralne, odrabiające pańszczyznę przez trzy godziny, to krócej grać, znaczyliby krzywdzić publiczność.

Dziś stosunki i wymagania są inne... Pan dr. Rydel jest zbyt wytrawnym znawcą teatru i sztuki wogóle, aby nie wiedział, że Bałucki nie od dziś ma dla teatru wartość o tyle tylko, o ile można go grać — bez tantiemy. A może ten właśnie powód przyniósł nam sobotnie wznowienie?

Jaka sztuka, taka gra. Widziałem jak na scenie serdecznie się śmiano i nie mam dotąd pewności, czy śmiech odnosił się do treści sztuki, czy był kierowany — naprost sceny. Trudno też wymagać od artystów tak nowoczesnych, jak pp. Jarszewska i Kamińska, Bończa i Grabowski, aby się wzięli w rzecz, która królowała na scenie w czasie, kiedy niejednego z nich jeszcze na świecie nie było. Prawda, że wielcy artyści grają równocześnie Szekspira i Molnara, ale inna rzecz, jak to się widzowi krytycznemu przedstawia“.

Panie F.! To bardzo fe, że Pan dobiera się do ś. p. Bałuckiego i jego dramatycznej twórczości. Chyba Pan nie wie, że właśnie dlatego, iż „pisarz był swojski i dowcipy swojskie“, sztuki jego, tak dawniej, jak i dziś, cieszyły się i cieszą i jeszcze długo cieszyć będą zasłużoną popularnością, zwłaszcza, że są one satyrą bardzo dowcipną na ówczesne nasze stosunki, których Pan zapewne nie zna. Brak w nich francuskiej pikanteryi, która dziś jest w modzie, mają przecież dość swojskiego pieprzku i to się każdemu musi podobać, chyba, że tego nie rozumie, albo rozumieć nie chce. W takim jednak razie niech nie przemawia tak uroczyście w imieniu całego społeczeństwa, które go do tego bynajmniej nie upoważniło.

Wartość sztuk Bałuckiego, wedle słów pana F., jest tylko taką, o ile można je grać bez tantiemy...

Jeśli tak się Panu zdaje, Panie F., to mi bardzo żal Pana, ja bowiem przyznam się otwarcie, że z równą przyjemnością widzę je na scenie dziś, jak i przed laty trzydziestu. Dziś nawet z większą, gdyż myślą przenoszę się w owe dawne, lepsze czasy, gdy nie byliśmy jeszcze tak nowoczesnie zeuropeizowani i żyliśmy więcej sercem, niż nerwami.

Wyobrażam sobie, jakie nastrojowe arcydzieło, targające nerwy, popełniłby pan F., gdyby tak niebiosa pozwoliły mu być nie tylko krytykiem, ale i autorem dramatycznym! Efekt byłby z pewnością wspaniały, ale wedle tegoczesnych wymogów krytyki, która żąda, by podczas słuchania tragedii audytoryum zaśmiewało się na śmierć, lekka komedia zaś, by wyciskała im z oczu gorzkie łzy...

Do tej perfekcji Bałucki rzeczywiście nie doprowadził i dlatego p. F. nazywa go słusznie zacofanem.

Ale krytykiem być bardzo łatwo, autorem dramatycznym zaś trudniej.

Bawi się też pan F. i w dowcipnego, bo powiada: „Widziałem, jak na scenie serdecznie się śmiano i nie mam dotąd pewności, czy śmiech odnosił się do treści sztuki, czy był kierowany — naprost sceny“. Widocznie szanowny krytyk artystyczny treści sztuki nie zrozumiał, nie winię go przecież o to, często bowiem się zdarza, że różni panowie i piszą i mówią bardzo wiele o tem, o czem nie mają najmniejszego pojęcia.

Powiada dalej: „Trudno też wymagać od artystów tak nowoczesnych, jak pp. X. Y. i Z., aby się wzięli w rzecz, która królowała na scenie w czasie, kiedy niejednego z nich jeszcze na świecie nie było“. Jakże w takim razie wyobrazić sobie na nowożytej scenie przedstawienie którejś ze sztuk Sofoklesa? Chyba na całym świecie nie ma aktora, a tem bardziej aktorki, pamiętających premierę „Elektry“ lub „Antygony“. A przecież sztuki te pojawiają się i teraz na scenie i idą wcale składnie. Widoczna więc rzecz, że nawet najnowocześniejszy artysta dramatyczny potrafi się wżyć w rzecz, która królowała na scenie w czasie, gdy jego jeszcze na świecie nie było.

I dlatego nazywamy go artystą, że to potrafi, bo chyba odtwarzanie tylko tego, na co się patrzymy własnymi oczyma, nie jest wielką sztuką. Na to zdobyłby się nie tylko p. F., ale nawet ja, który nie mam wcale wysokich artystycznych ani krytycznych aspiracji.

Tych kilka słów należy się panu F., jako odpowiedź na jego artykuł, pomieszczony w numerze 438. „Gazety Krakowskiej“. Zaznaczyć przytem muszę, że recenzenci teatralni innych pism krakowskich, i to tacy, którzy się na sztuce naprawdę znają, zupełnie odmienne stanowisko zajęli w swych sprawozdaniach z przedstawienia „Gęsi i gąsek“.

Kierownictwu Teatru krakowskiego powinno się zapisać „na dobro“, że właśnie we wojennym czasie, gdy każdy żądny jest rozrywki, wystawiło sztukę ś. p. Bałuckiego. Zdanie moje podziela i większość Krakowian, z wyjątkiem naturalnie pana F., przedstawienia bowiem sztuk Bałuckiego wypełniają z zasady teatr po brzegi.

Ale, chcąc Bałuckiego zrozumieć, trzeba znać Kraków i jego życie, nie tegoczesne, jakie się widzi n. p. w Esplanadzie, ale i z przed lat trzydziestu a wówczas będzie się o jego twórczości miało inne zdanie, jak pan F., który jest zapewne bardzo młody, więc czasów tych ani znać, ani tembardziej pamiętać nie może.

Ale trudno! Jak wojna, to wojna! Wszak Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Sienkiewicz i inni mieli też krytyków, którzy na nich nie zostawili suchej nitki...

I ani się spostrzegłem, jak z aprowizacji miasta skoczyłem na tear! Muszę zawrócić, gdyż wypada mi poświęcić jeszcze kilka słów królikom, które zaczynają coraz bardziej wchodzić w modę.

Jeden z mych znajomych, pan radca X. (nie powiem, jak się nazywa, gdyż prosił o dyskrecję), widząc, że czasy coraz cięższe, a mięso coraz droższe, jako dobry gospodarz zaopatrzył się w trzy króliki, rasy flandryjskiej, tutaj jednak w Krakowie urodzone i wychowane.

Myślał, że wygrał terno, przekonał się przecież, że tak nie jest i przeklina chwilę ich nabycia, tyle mu przysporzyły kłopotów.

Przedewszystkiem martwi go, że okazy, które miały być „olbrzymami“, są właściwie karłami i potomstwa mieć nie będą, bo same samce, pozatem gryzie go, że nie chcą jeść tego, co im się daje, wobec czego chyba nigdy się do tego stopnia nie wypasą, by móżdż godnie przejść z paki do żołądka pana radcy.

Ponadto przykrzy się im w pace i wałą o jej dno łapami, co panu radcy we śnie błądym prze-

szkadza, wreszcie łamie sobie głowy cały dom nad tem, jak je przyprowadzić, by należycie smakowały.

Istnieją wprawdzie różne przepisy, ale dotąd jeszcze nie wypróbowane, pan radca nie chciałby zaś, by jego ulubieńcy poszli na marne, zwłaszcza, że zapłacił za nie gotówką dziesięć koron, nie licząc wydatków na kapustę (główka ośmnaście centów), owies i t. d.

Chodzi więc biedak zmartwiony z odcinka „pod Palmą“ w odcinek „pod Obrazem“ i pyta każdego znajomego o przepis. Dotychczas jeden tylko przyniósł mu ich kilka, twierdząc, że wypróbował je i może zareczyć, że każdego zadowolnią. Ze zaś jest to mąż poważny, który zna się na wszystkim, nie ulega wątpliwości, że się nie myli.

Także i magistrat otwiera jatkę z króliczym mięsem, lecz zapowiada z góry, że będzie ono tylko o kilka halerzy na kilogramie tańsze od wołowego, od którego jest przecież o wiele pożywniejszem.

Ze zaś wołowina jest bardzo droga, wobec tego i na króliki nie każdy z nas będzie sobie mógł pozwolić, *eo ipso* i kronikarz jeść ich nie będzie, prosi natomiast, by Szalowni Czytelnicy nadsyłali mu swe spostrzeżenia pod tym względem. Będzie to rodzaj króliczej ankiety. Materyały, zebrane w tej kwestyi, złożę się Akademii Umiejętności, która postara się o napisanie gastronomicznej rozprawy o znaczeniu i wartości mięsa króliczego.

Konferowałem w tej materyi z jednym restauratorem, który zapewniał mnie solennie, że z królika potrafi zrobić nawet zającą, choć do tego celu nadają się lepiej nasze koty, które, zwłaszcza teraz, są tłuste, gdyż i myszy mają się dobrze, jest bowiem w każdym domu co jeść, tyle tu i ówdzie nagromadzono zapasów na czarną godzinę i wciąż się jeszcze kupuje.

Widziałem także i prawdziwego, całkiem dzikiego zającą, którego otrzymał w podarunku od wdzięcznego klienta jeden z mecenasów. Miałem nawet dostać w prezencie kawałek nogi, niestety, skończyło się tylko na obietnicy. Żartok zjadł sam całego, a mnie, jakby na urągowisko, przyszedł tylko opowiedzieć, że mu smakowało.

Czego mu w duszy życzyłem wtedy, każdy się chyba domyśli!

Skoro aprowizacją zacząłem, na niej też chcę skończyć, napomknę więc o rewizjach, jakie nasza Dyrekcja policyi urządziła po składach różnych panów kupców i nie kupców, którzy nagromadzili tyle artykułów spożywczych różnego rodzaju, iż wystarczyłoby ich dla Krakowa na lat kilka, ale nie chcieli nic z tego sprzedawać, czekając aż ceny pójdą należycie w górę.

Teraz obsiadł ich blady strach, zabierają im bowiem zapasy, a samych pakują do ula, nie też dziwnego, że po sklepach znajdują się już różne towary, których dotąd brakowało. Mieszkańcy miasta cieszą się z tego, każdy jednak powiada:

— Taki spekulant to ma zawsze szczęście! Choć mu zabrali towary, ale go zato zamknęli do kryminału, a tam ani jedzenie, ani mieszkanie nic go nie kosztuje!

I kto wie, czy nie mają racji!

Wobec tych rozlicznych spraw aprowizacyjno-gęsiarsko króliczych oraz braku miejsca i ja politykę na wielką skalę muszę zawiesić na razie na kołku, myślę przecież, że nikt o to na mnie się nie pogniewa, gdyż wiadomości tego rodzaju, i to z pierwszej ręki, ma każdy chyba aż za dużo w wydaniach porannych i wieczornych naszych pism codziennych.

A jest o czem pisać, sytuacja bowiem zaczyna się coraz bardziej korzystnie kształtować dla mocarstw centralnych. Jeśli Rumunia i Grecja dochowają neutralności rzeczywiście, przed zimą możemy się spodziewać końca wojny. Zrozumiał to już i król Piotr serbski i spakował swe torby podróżne, aby każdej chwili być gotowym do wyjazdu. Bułgarzy pamiętają dobrze o perfidii swych sąsiadów od zachodu i z pewnością oddadzą im to z nawiązką, co im winni.



Krem do zębów
KALODONT
70 halerzy.